



Henryk Walczak

Sygnatura notacji: N1440

Data urodzenia: 1929 r.

Data nagrania: 25.10.2019 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Wólka Przybójewska, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Dorota Grzechocińska

Czas nagrania: 74 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Henryk Walczak: Proszę pani, urodziłem się w 1925 roku, 18 grudnia 1925 roku w Wólce Przybójewskiej, to znaczy w tej samej miejscowości, co teraz jestem. I przez te wszystkie lata do tej starości tu przebywam. A historia tego przebywania w miarę dorastania, jak w 1939 roku to już wszystko dobrze pamiętam. Tu kończyłem szkołę podstawową tu w tej miejscowości i w 1939 roku jak wybuchła wojna, to już dobrze rozumiałem tragedię tej wojny i te pierwsze wejścia Niemców to właśnie było tragiczne, tak jak opowiadam o tych kotach, prawda?

Dorota Grzechocińska: To proszę opowiedzieć tę historię.

Henryk Walczak: Tak że te pierwsze wojny dla mnie było taka najpierw tragedia, że stała naprzeciw nas przy tej głównej drodze kuchnia wojskowa. Żołnierze gotowali tam sobie i ja byłem ciekawy, co gotują, co jedzą. I poszedłem tam sprawdzić. A za mną poleciały koty, takie mieliśmy ładne. Jak to koty, jak zwierzęta poczuły tam zapach i jak poszły tam, jak zobaczyli ich ci kucharze, to od razu te koty i do pieca, żeby im się lepiej gotowało, żeby lepiej się paliło, to te koty wrzucili do pieca. To mnie przeraziło od razu. Pani sobie wyobrazi takie kotki, które się lubiło i na oczach pani do pieca żywe. Ale to... A później to z tego wyciągnąłem wnioski, że nie tylko koty. Bo zamordowali nas 6 milionów ludzi. Przed wojną nas było 30 milionów, a po wojnie zostało się tylko 24 miliony ludzi. Czyli 6 milionów zostało zamordowanych w różnych okolicznościach. A najwięcej w obozach koncentracyjnych. Ja zaraz po wojnie pojechałem do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, szukać brata. Mówię, ja go tam nie znajdę, ale chociaż zdjęcie. Znalazłem masę zdjęć, ale nie poznałem go, bo to wszyscy wyglądali jak kościotrupy. Ogoleni i tym podobnie. I potem to ja oglądałem to na żywo jeszcze wszystko widziałem. Jeszcze to wszystko śmierdziało, można powiedzieć,

te różne ubranka dziecięce, buciki dziecięce. To wszystko widziałem dobrze. Teraz tam jest uporządkowana, też to jest, ale już w jakiś sposób uporządkowane, a wtedy widziałem na żywo po wyzwoleniu zaraz.

Dorota Grzechocińska: A tutaj w 1939 roku stacjonowała jednostka?

Henryk Walczak: W 1939 roku to taka jednostka stacjonowała nie jak stacjonują jednostki tam na jakiś okres, na rok, czy na dwa, nie. To była jednostka, która przyjechała na wypoczynek z frontu. Z frontu. I jakieś tam dwa, miesiąc, dwa miesiące, żeby się trochę odżywili i tu stacjonowali. I szkolili się tutaj też z różnych strzeleckich form na wojnę.

Dorota Grzechocińska: Tutaj były warunki? Tutaj był jakiś dworek, jakieś miejsce, jakiś pałac?

Henryk Walczak: Tutaj pałac na Wólce, nad Wisłą samą. Tam mieli rzeźnię, Niemcy sobie urządzili. Wszystkie przeważnie krowy, konie i tym podobne, jak w miarę cofania się tego frontu niemieckiego, to zabierali ludziom. To było parę tysięcy bydła. I przerabiali to na wędliny i na front. To sporo ludzi... W grudniu, kiedy to już front się zbliżał pod Narew, Bug, to oni stąd uciekli, a ja od razu mówiłem: „O, jak już stać uciekają, to już jest źle”. To było w grudniu. A w styczniu to już były moje imieniny, jak raz Henryka, weszli tu Rosjanie, w moje imieniny. Postawiłem jeszcze im litr wódki. I to... „No, będą kołchozy teraz, oj”. „Nie, nie, tu nie będzie kołchozów”. Pomaleńku, pomaleńku i tak było. I potem jeszcze kołchozów nie zdążyli zrobić, bo Gomułka się sprzeciwił i Gomułkę wsadzili do więzienia za to w 1947 roku.

Dorota Grzechocińska: Panie Henryku, jak wyglądała pana rodzina? Miał pan rodzeństwo?

Henryk Walczak: Miałem, tak. Miałem, proszę pani. Moja rodzina była liczna. Było nas osiem osób. Dwie siostry i sześciu braci miałem. Ale wszyscy tu w 1939 roku nie mieszkali, bo już się niektórzy poženili, mieszkali. Najwięcej mieszkali w Warszawie. I to jest... Ale rodzina była taka zgrana, dobra, rodzinna. Nie było żadnych tam kłótni, nie było nic. Ale potem szykanowali nas Niemcy. Ale udało się i tak jakoś przeżyć.

Dorota Grzechocińska: A w 1939 roku kto tutaj z panem mieszkał?

Henryk Walczak: To ja z rodzicami mieszkałem i rodziców tu pochowałem.

Dorota Grzechocińska: I z braćmi?

Henryk Walczak: Tak.

Dorota Grzechocińska: A jak się nazywali bracia?

Henryk Walczak: Proszę?

Dorota Grzechocińska: A jak mieli na imię bracia i w jakim wieku?

Henryk Walczak: Bracia mieli na imię Bronisław, to najstarszy był. Miał 90 chyba też lat.

Dorota Grzechocińska: Jak zmarł?

Henryk Walczak: Tak, tak, tak. Później Mieczysław i Czesław. Czesław zmarł na płuca. Leczyli go, leczyli go lekarze szwedzcy, bo nie było ani lekarzy takich ani nic. Ze Szwecji lekarze przyjeżdżali do Polski w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, na Wołoskiej tam w tym szpitalu.

Dorota Grzechocińska: A w czasie wojny czym się pan zajmował?

Henryk Walczak: Proszę?

Dorota Grzechocińska: Czym się pan w czasie wojny zajmował?

Henryk Walczak: W czasie wojny to w domu się tułałem. W czasie wojny najwięcej potem się zajmowałem ry-marstwem. Rymarstwem. Jako rymarz.

Dorota Grzechocińska: Czy tutaj działała jakaś organizacja podziemna, czy tutaj...

Henryk Walczak: Tu specjalnie nie działała organizacja, ale z drugiej strony Wisły tak. Oni to dlatego to mieli na obserwacji tę miejscowość. Bo z tamtej strony Wisły już chyba rok przed samą wojną to popalili tam wszystkie wsie prawie i prawdopodobnie ci żandarmi, ci celnicy, co tam właśnie za Leoncinem mieszkali i pilnowali tej granicy. Oni to nazywali granicą. To wszystko puciekało tu. Ale tam w mojej miejscowości dużo popalili. To pamiętam to. Tak że to są... Żeby to dokładnie wszystko opowiedzieć, to trzeba by było głowę rozszerzyć, prawda? Mózg trochę trząchnąć, żebym sobie przypomniał wszystkie zagadnienia. Ale to było coś okropnego. Najważniejszą dla nas sprawą to było codzienne oglądanie map. Ojciec i my. Wieczorami zasłaniało się okna, bo tam trzeba było zasłaniać, obowiązek był. A kto nie zasłonił, to żandarmi mieli prawo strzelać do tych okien. I wtedy rozkładaliśmy mapy. Aha, tam jest inwazja na Sycylii, wyzwolili Sycylię. Inwazja w Afryce, w Tunisie. Gdzie to tam, a to już była iskierka nadziei, że szlag Niemców trafia. I potem jak już walki się rozbrzmiały mocno z Rosją i walki pod Stalingradem, to już wiedzieliśmy wszyscy, że to się rozgrywają już teraz losy wojny. I tak było. A Niemcy w swoich prasach, w swoich biuletynach, bo oni dawali nam takie biuletyny niemieckie, że oni tylko wyrównają front. Tak że ten front wyrównywali do samego Berlina. I to była jedyna nadzieja. Tu jak już przyszły te wojska ruskie z wojskami z polskimi, armia, która była armią imieniem Tadeusza Kościuszki, przyszła razem z ruskimi i Warszawę też z tej strony, ale bardzo dużo w Warszawie zginęło, bo generał Berling chciał pomóc powstańcom, ale nie pozwolono im. Żołnierze poszli tak na swoją rękę, to wybili ich Niemcy jak kaczkę.

Dorota Grzechocińska: Pani Henryku, oglądaliście mapy, słuchaliście radia?

Henryk Walczak: Proszę?

Dorota Grzechocińska: Oglądaliście mapy, byliście zorientowani, jak przebywa front.

Henryk Walczak: Tak, tak, na co dzień.

Dorota Grzechocińska: A czy słuchaliście radia?

Henryk Walczak: Radia to nie słuchaliśmy. Bo radio, trzeba było wszystkie rowery, radia, bagnety, jak to my u nas mieliśmy taki bagnet do bicia świń. Musieliśmy zdać radia, rowery, kozuchy, futra. To wszystko trzeba było oddać na front, bo oni tam marzli pod Stalingradem. Ojciec miał nowy kozuch, nie oddał, tylko go schował. Jak go po wojnie wyjął, to już się nie nadawał, bo mole go zjadły. Tak że to... A radio po wojnie to ja sam zrobiłem. Miałem słuchawki ciągłowe, a cały aparat sam zrobiłem i odbierałem Nowy Jork, Madryt, Ankarę. Odbierałem i to dobrze nawet. Tak że radziliśmy sobie w różny sposób.

Dorota Grzechocińska: Ale w czasie wojny tutaj stacjonował lekarz wojskowy.

Henryk Walczak: Tak, tak, tak.

Dorota Grzechocińska: Proszę to opowiedzieć.

Henryk Walczak: Stacjonowała tu jednostka, która przyjechała z frontu na wypoczynek i tu pozajmowali wszystkie te ludziom mieszkania, pokoje i tym podobne, kto miał wolniejsze. Między innymi u nas właśnie kwaterował u moich ojców lekarz. To był chyba porządny facet, bo tutaj znajomemu zachorował na ślepą kiszkę i poprosili ojca tego kolegi, czy by nie pomógł. Pojechał i pomagał, ratował go, ale nie uratował, bo już było za późno i zmarł ten kolega. Tak że kto był dobry, to był dobry. A tak to ci żołnierze, jak to żołnierz. Żołnierz miał tylko swoje zadanie: szkolić się po niemiecku, bo jej hasło było jakie? Hitler, kiedy zdobył władzę, Hitler kiedy zdobył władzę po wyborach wystąpił z Ligi Narodów. Bo przed wojną to była Liga Narodów, wystąpił z Ligi Narodów, żeby mógł się zbroić, bo tak to nie mógł. I potem wszystkie środki, opodatkował mocno bogatych, tych baronów i tym podobnie, i wszystkie środki przeznaczył na rozwój przemysłu zbrojeniowego. Wszyscy ci młodzi, ci Niemcy, wszyscy podostawali pracę i „Heil Hitler”, niech żyje Hitler, bo było im dobrze już.

Głos męski zza kadru : Proszę opowiedzieć o takiej codzienności życia tutaj na wsi w Wólce, z perspektywy Polaka, Polaków. Bo pana rodzice byli rolnikami, tak?

Henryk Walczak: Tak.

Głos męski zza kadru: Prowadzili gospodarstwo. Jak wyglądało to życie codzienne, z czego musieliście się rozliczać, co musieliście zdawać Niemcom, jaką politykę Niemcy prowadzili wobec Polaków?

Henryk Walczak: Jeśli chodzi o politykę wobec Polaków, to polityka była jedna. Może nie było jeszcze generalnej zapowiedzi, ale niszczenia tak jak niewolników. Ale zapowiedź była taka, że mieli zniszczyć Polaków. A jak było na wsi? Jeśli chodzi o wieś, to była to wieś, nie tylko ta, były to wsie spokojne, każdy podporządkował się Niemcom, bo musiał, byli wybrani sołtysi, ale to przeważnie sołtysi służyli Niemcom więcej jak Polakom, ale musieli. Bo jakby nie robił tego, to by jego zgładzili. Tak że tutaj nie można powiedzieć, że było jakieś, bo były wioski, gdzie istniały partyzantki, organizacje polityczne i tym podobnie. Tu tego nie było.

Dorota Grzechocińska: Ale stąd aresztowano, prawda, kilka osób?

Henryk Walczak: Tak, tak. Ja się ukrywałem. Ja się ukrywałem w takim gospodarczym budynku.

Głos męski zza kadru: A proszę powiedzieć, dlaczego pan się ukrywał i kiedy.

Henryk Walczak: Ukrywałem się, dlaczego. Ja dostałem kartę do wcielenia do Prus. W latach... Trzeci rok już wojny, w trzecim roku wojny. I nie stawiałem się do tego miejsca zbiorowego, gdzie mieli nas wywieźć. Przecież dużo młodych chłopaków wywozili. A stąd ja miałem tylko. I ze względu na to się ukrywałem. Pewnego razu, co śpię w takim gospodarczym budynku, zimno było, mróz był, mama moja przychodzi, wali do drzwi: „Otwieraj, bo tu panowie są”. To ja wiedziałem już, jacy panowie. Ręce do góry, zabrali mnie i wtedy... Tu, nawet niedaleko była gmina. Na Goławinie tu zaraz. To zamknęli mnie. I wtedy co do Pomiechówka mnie wywieźli, wieźli nas wtedy trzech.

Dorota Grzechocińska: To niech pan przypomni nazwiska, kogo jeszcze?

Henryk Walczak: Tak. Już tutaj za Modlinem patrzę, jedzie jednostka wojskowa, pancerna jednostka wojskowa. Tylko przejechali na zdławienie Powstania, bo już Powstanie było w Warszawie. Czy na front z Ruskimi. Prawdopodobnie to jechali na zdławienie Powstania. To cała jednostka pancerna, jeszcze musieli, ten akcjonariusz musiał dobrze uważać, żeby nas nie rozjechali tymi samochodami, czołgami i tym podobnym.

Dorota Grzechocińska: Panie Henryku, czyli w czasie wojny został pan wezwany do Arbeitsamtu, żeby pojechać na roboty do Prus Wschodnich, tak?

Henryk Walczak: Tak, tak, tak, tak.

Dorota Grzechocińska: I to było mniej więcej kiedy? W 1942?

Henryk Walczak: To było w samą Wielkanoc, dzień przed Wielkanocą. I jak to dostałem, tak z rodziny przyszli, zaczęli mi odradzać. A, jeszcze przed tym zaproponowali mi, żeby... Bo tu taka Nacpolsk, taka miejscowość. Tam urzędował landrat. Landrat to był w randze wojewody obecnie. I miał tu gospodarstwo, takie w Pieścidłach, po folwarku przedwojennym. I żeby przyjść do tego folwarku, tam obsługiwać konie, tego. Ja z tym nie miałem nigdy do czynienia i nie umiałem tego robić. I poszedłem tam, żeby mnie zatrzymał ten landrat, żeby nie wywieźć mnie tam do tego Königsberga, do tego Królewca po polsku. I jak ta pani, co tam u nich miałem być, to taka, która rodzina była, w której

mieli dużo dzieci i przed wojną byli robotnikami tego folwarku prywatnego dziedzica, ale potem jak Niemcy weszli, to Niemcy to objęli. Ja tylko jedną noc tam przespałem, przeleżałem w wielkich cierpieniach, bo jak mnie pluskwy obeszły, to nie mogłem wytrzymać i doczekać się rana. Mówię, nie, ja już tu nie będę. Ona wzięła te moje dokumenty wcielenia do tych Prus, a ja wtedy wyszedłem i uciekłem stamtąd. I wtedy się ukrywałem po innych wioskach, po stodołach, po tym tego, żeby mnie nie aresztowali ponownie.

Dorota Grzechocińska: Który to mógł być rok?

Henryk Walczak: To był rok... Mógł być rok 1942-43. Tak. A później to żałowałem nawet, bo tam było bezpieczniej jak tu u nas. Bo tam jak przydzielili do jakiej Niemki, ale do Niemki to trzeba było być ostrożnym, żeby się nie zakochać, bo za to była kara śmierci, wieszali. Tak że to są... Były i takie tragedie.

Dorota Grzechocińska: Jak długo się pan ukrywał?

Henryk Walczak: Ukrywałem się prawie do wyzwolenia. Prawie do wyzwolenia. Do wyzwolenia. To nie było jeszcze takie wyzwolenie.

Dorota Grzechocińska: A kiedy nastąpiło to aresztowanie, w którym wywieziono pana do Pomiechówka? W którym momencie to było?

Henryk Walczak: To było jakieś 2-3 lata. Dwa lata przed wejściem Rosjan tu.

Dorota Grzechocińska: Ale to już w czasie, kiedy pan się ukrywał czy przedtem?

Henryk Walczak: W czasie, kiedy się ukrywałem, tak. W czasie, kiedy się ukrywałem.

Dorota Grzechocińska: I to aresztowanie, gdzie nastąpiło, gdzie pana aresztowano?

Henryk Walczak: Tu aresztowali. Nawet w tym miejscu, gdzie ten pan leży, tu był taki murowany budynek, Letarg tak się nazywał. Podobny do tego. Tu mnie aresztowali.

Dorota Grzechocińska: I to był mniej więcej rok... pamięta pan?

Henryk Walczak: 1942-43 rok.

Dorota Grzechocińska: A może pan opowiedzieć w jakich okolicznościach, kiedy to się stało, kto przyszedł? To aresztowanie.

Henryk Walczak: Aresztować mnie, tak? Żandarmi. Tacy żandarmi, co tutaj na tym terenie obsługiwali. Tu był taki

komendant, który był w I wojnę światową komendantem na tym terenie. Bardzo porządny facet. Ale on dostał polecenie aresztować mnie i musiał.

Dorota Grzechocińska: Czyli żandarmeria przyszła tutaj. Jaka to była pora dnia?

Henryk Walczak: Noc.

Dorota Grzechocińska: Noc.

Henryk Walczak: Noc, noc. Przeważnie noc. „Wstawaj, bo panowie”, mama: „Otwieraj, bo panowie”, to już wiedziałem, jacy panowie. Młody człowiek był, młody chłopak.

Dorota Grzechocińska: A kto jeszcze z panem był aresztowany w tym samym czasie?

Henryk Walczak: Proszę?

Dorota Grzechocińska: Kto jeszcze był aresztowany z panem w tym samym czasie?

Henryk Walczak: Lewandowski Zbigniew, ale już nie żyje.

Dorota Grzechocińska: Krajewski?

Henryk Walczak: Lewandowski, Lewandowska, a Krajewski to tej samej nocy czy innej, to dokładnie nie pamiętam, ale wiem, że byli, w krótkim czasie oni aresztowali Krajewski i Kosiorek. I do dzisiejszego dnia nie ma śladu po nich.

Dorota Grzechocińska: Czyli z Lewandowskim Zbigniewem obydwaj byliście aresztowani.

Henryk Walczak: Tak.

Dorota Grzechocińska: I dokąd was żandarmeria prowadziła?

Henryk Walczak: Gdzie zaprowadzili nas?

Dorota Grzechocińska: Tak.

Henryk Walczak: Normalnie zamknęli nas do takiego pomieszczenia, prywatnego budynku, bo to była noc i wzięli, przyprowadzili, tu był komisarz niemiecki, gmina niemiecka. I wsadzili nas do takiego kurnika, i stamtąd dalej.

Dorota Grzechocińska: Dokąd?

Henryk Walczak: Do Pomiechówka. A my nie wiedzieli, że nas do Pomiechówka wiozq.

Dorota Grzechocińska: A jak was wieźli? Samochodem?

Henryk Walczak: Wozem konnym. Żandarmy z tyłu. W Zakrocymiu jak przejeźdźali przez ten las, ostrzegli nas tylko, żebyśmy nie uciekali do tego lasu, bo nas zabiją, pamiętam to.

Dorota Grzechocińska: A jak się pan zorientował, że to jest Pomiechówek? Znał pan to miejsce?

Henryk Walczak: Tak, znałem, trochę znałem, ale nie tak dużo.

Dorota Grzechocińska: A coś się wiedziało tutaj na wsi o Pomiechówku?

Henryk Walczak: Tak, wszyscy wiedzieli.

Dorota Grzechocińska: A co się mówiło o tym miejscu?

Henryk Walczak: Wszyscy. Pomiechówek to był postrach. Wszyscy wiedzieli. Tu został aresztowany organista i on chyba nie wrócił też.

Dorota Grzechocińska: Jak się nazywał?

Henryk Walczak: Proszę pani, nie mogę pani powiedzieć, bo nie pamiętam.

Dorota Grzechocińska: I co jeszcze się mówiło na temat Pomiechówka?

Henryk Walczak: Pomiechówek to był w randze tych obozów. Jak Działdowo, Pomiechówek to były obozy, jeśli się wyszło, to było szczęście. To przeważnie do Oświęcimia wozili.

Dorota Grzechocińska: Czyli jak pan dojechał i uświadomił sobie, że to jest Pomiechówek, o którym pan wiedział to wszystko...

Henryk Walczak: Tak, tak, tak.

Dorota Grzechocińska: To co pan wtedy pomyślał?

Henryk Walczak: Cały czas się myślało, jak uciec. Tylko to. Jak żem zobaczył tych ludzi, którzy tam już byli wcie-

leni do obozu. Bo mnie jeszcze nie wcielili, tylko od razu do roboty wzięli. Na rampę stacji w Pomiechówku i cement z rampy ładowałem na wagony.

Dorota Grzechocińska: Czyli jeszcze raz, jakby pan przyjechał może nie do samego bezpośrednio obozu, tylko na stację kolejową?

Henryk Walczak: Tak, tak, tak, tak, tak.

Dorota Grzechocińska: Bo stacja kolejowa jest trochę oddalona.

Henryk Walczak: Oddalona, oddalona, tak.

Dorota Grzechocińska: I tam pan zastał ludzi, którzy...

Henryk Walczak: Zastałem jak pędzili tych ludzi z roboty do tego obozu już na spoczynek czy na kolację, czy na... Na kolację. Na wieczór. Tak. A ja się skontaktowałem, taka nad tą rzeką Wkrą, chatka taka była, domek mały i dwoje starszych ludzi tam było. I ci ludzie mi pomogli uciec. Tam przenocowali i rano ten człowiek dał nam, mnie dał widły, sobie wziął grabie i przez ten mostek musieliśmy przejść, przez tę rzeczkę, bo tam była warta. Jak już przeszedłem, jak poszedłem, to w pola od razu w prawą stronę, jak tam ta wieś się nazywa... To duża wieś. I przez te laski, przez te pola, polami wszystkimi dotarłem tu niedaleko już w swojej miejscowości.

Dorota Grzechocińska: Ale jeszcze proszę dokładnie mi opowiedzieć, żebyś zrozumiała, jak to wyglądało? Dostał się pan do pracy, do przeładowywania...

Henryk Walczak: Tak, tak. Cementu.

Dorota Grzechocińska: I do wieczora pan tam pracował?

Henryk Walczak: Tak, do wieczora. I myślałem jak tu zrobić. I dobrze ułożyłem plan.

Dorota Grzechocińska: I jak ten plan wyglądał?

Henryk Walczak: No, był cały umysłany, czyli właśnie mówiłem o tych ludziach, co mi pomogli i to się udało.

Dorota Grzechocińska: Nie był pan pilnowany podczas tej pracy?

Henryk Walczak: Był tam gestapowiec, ale przed wieczorem gdzieś poszedł, a ja to wykorzystałem.

Dorota Grzechocińska: A ta grupa więźniów, która wracała do Pomiechówka, to kto tam był w tej grupie, były

kobiety, mężczyźni?

Henryk Walczak: Były kobiety, mężczyźni, ale, proszę pani, sam wygląd jak zobaczyłem, to już mówię: „Nie, nie ma mowy. Ja tu nie zostanę”. Bo by byli mnie na wieczór wzięli tam.

Dorota Grzechocińska: Oni byli jakoś pilnowani? Ktoś ich prowadził w tej kolumnie?

Henryk Walczak: Tak, tak, tak. Przez esesmanów, przez żandarmów. Najwięcej pilnowali Deutsche Jugend. Młodzi Niemcy, młodzi żołnierze. Deutsche Jugend, Deutsche Hitler niektórzy ich nazywali. To były wyszkolone dzieciaki.

Dorota Grzechocińska: Czy były tam w otoczeniu jakieś psy? Mieli ze sobą do pilnowania tej kolumny, pamięta pan?

Henryk Walczak: Tak, tak, tak.

Głos męski: Jak duża to była grupa? Ile osób mogło być w tej kolumnie?

Henryk Walczak: Tam było w takiej jednej kolumnie było około 100 osób. Tak, około 100 osób.

Dorota Grzechocińska: I kobiety, i mężczyźni, tak?

Henryk Walczak: Tak, tak.

Dorota Grzechocińska: Jaka to była pora roku? Oni byli ubrani ciepło czy...

Henryk Walczak: To była jesień. Wczesna jeszcze jesień była. Jak to Powstanie Warszawskie wybuchło, kiedy - 1 sierpnia.

Dorota Grzechocińska: Tak.

Henryk Walczak: To w tym czasie, w tych dniach wybuchu Powstania. Ale tyle, co wiem, że u tych Niemców, których myśmy obsługiwali, u tych dowódców... U tych dowódców był bałagan. U nich był bałagan. Organizacyjny bałagan. Już to widziałem, niektórzy byli zrezygnowani, że Hitler kaput. Oni wiedzieli. Już tam jak się cofali od Stalingradu, to już wiedzieli, co tam się zostało. Generał Paulus. Generał Paulus tam był dowódcą, prawda, i Hitler go tam nalegał, żeby tego. Tam ich nie tylko kule, ale i mróz, i wszystko tam ich wzięło. I dyzenteria, i wszystko. Tam się rozstrzygnęły losy wojny.

Dorota Grzechocińska: Panie Henryku, ale jeszcze pan wspominał o tym, że uciekł pan również z takiego miejsca, gdzie kopaliście okopy. Jak mógłby pan jeszcze raz spróbować opowiedzieć ten moment aresztowania aż do, jak pan się dostał do Pomiechówka. Bo żebyśmy to dobrze zrozumieli.

Henryk Walczak: No, tak.

Dorota Grzechocińska: Czyli tutaj jest wieczer.

Henryk Walczak: To było w nocy. Ja spałem na takim byle jakim łóżku, w tym gospodarstwie w domu i jak mówię, przyszli po mnie do domu tam, gdzie moi rodzice spali. Prawdziwego domu. I powie, gdzie jestem. Nie było wyjścia mamie, musiała przyjść, bo mówi, zrobią rewizję i mnie znajdą. Mama przychodzi, wali do drzwi: „Otwórz, bo tu panowie jacyś są”. Ja otwieram: „Ręce do góry, raus”, prawda, marsz. I tego, i zaprowadzili mnie do tego znowuż prywatnego, gdzie właśnie już był ten kolega Lewandowski. I po tym wzięli przez całą wieś tu mnie prowadzili, do takiego kurnika i tu stamtąd mnie aż... stamtąd nas wywieźli do tego Pomiechówka. Ale to dopiero wieczorem też nas zabrali. Głos: I do Pomiechówka jechał pan furmanką?

Henryk Walczak: Furmanką, w koniu.

Głos: Przez Zakroczym, tak?

Henryk Walczak: Przez Zakroczym, Modlin.

Głos: I dojechaliście do stacji kolejowej w Pomiechówku.

Henryk Walczak: Tak, tak, tak, tak.

Głos: I co tam się stało, proszę powiedzieć. Dlaczego pan, jak pan myśli, dlaczego nie od razu zawieźli pana do obozu? Dlaczego?

Henryk Walczak: Nie, nie, nie, nie, nie, nie. Tam jest szkoła w Pomiechówku, prawda, jest. Tam wzięli nas do tej szkoły najpierw. I ze szkoły na tę rampę do roboty. Prawdopodobnie, nie wiem, tak się domyślam, może nas nie mieli zamiaru wcielić do tego obozu, tylko do roboty, do tego cementu, nie wiem.

Dorota Grzechocińska: Tak czy inaczej, sama ta informacja o tym, że mógłby pan trafić...

Henryk Walczak: Tak, tak.

Dorota Grzechocińska: Trafić do Pomiechówka...

Henryk Walczak: Wszystko wskazywało na to. Wszystko wskazywało na to.

Dorota Grzechocińska: A ten kolega, Lewandowski, on został w tej pracy? On nie uciekł z panem?

Henryk Walczak: On, ten kolega, potem gdzieś wywieziony został, gdzieś indziej i później po wojnie znalazł się, ale już go nie pytałem się, jak on tam to przeżył, gdzie był i tym podobne, bo to wie pani.

Dorota Grzechocińska: To niech pan jeszcze opowie o tej kolumnie tych więźniów, którą pan zobaczył.

Henryk Walczak: A, tych więźniów. No, prowadzili jak wszystkich innych. Bo ja w takich kolumnach chodziłem na okopach, jak byłem w Pułtusku. To też w kolumnach takich ze szpadlami na ramionach. I to samo ci więźniowie ze szpadlami na ramionach. Obdarci, mizerni, nie tak jak to wygląda człowiek, tylko jak prawdziwy, najgorszy niewolnik.

Dorota Grzechocińska: A skąd pan jakby przypuszczał, że to są więźniowie Pomiechówka?

Henryk Walczak: Skąd wiedziałem?

Dorota Grzechocińska: Tak.

Henryk Walczak: Domyślałem się, bo inaczej nie mogło być, tylko tak, bo wiedziałem, że tam mnie wieźli, że to jest Pomiechówek. Groźny więzień i tym podobnie. Wiedziałem o tym.

Dorota Grzechocińska: Nie porozumiewał się pan z tymi ludźmi...

Henryk Walczak: Nie, nie dało się. Nie. Nie.

Dorota Grzechocińska: I oni też żadnych jakichś znaków nie dawali?

Henryk Walczak: Nie, nie, nie. Może tam jakiś szczegół był, ale to pani wie, to tyle lat. Ja byłem młody, a teraz jestem bardzo stary.

Dorota Grzechocińska: To proszę jeszcze opowiedzieć o tym obozie w Pułtusku. Kiedy to się stało? Jak pan tam trafił?

Henryk Walczak: Proszę panią, obóz w Pułtusku. To nie był obóz, tylko spędzili nas. To była gmina tutejsza, co się nazywała gmina Gaworowo wtedy i gmina Sochocin koło Płońska. Dwie gminy. To było 5 tysięcy ludzi. Kopali okopy strzeleckie i przeciwczołgowe. Najgorzej było kopać przeciwczołgowe, bo jak się człowiek odchylił, to te główniarze Deutsche Jugend kamieniami w nas walili, w nasze. No i dawali nam tam zupy gotowane na kościach końskich i wieczorem kolację, margaryna niemiecka i dżem z buraków. To były... Ja byłem młody to... Ale byli i starsi, i już się przewracali, bili ich. Kolega jeden też uciekał tu z niedalekiej wsi. Kochański miał nazwisko. Dorwali go, przyprowadzili go z powrotem do tej grupy, kazali mu wykopać dół, wykopał dół, kazali mu wejść i go zabili. I tam go pochowali. Tam go zakopali.

Dorota Grzechocińska: Jak miał na imię ten Kochański?

Henryk Walczak: Kochański. A jak miał na imię, to nie wiem. Sfałszować nie chcę imienia, bo nie pamiętam dokładnie.

Dorota Grzechocińska: Jak długo ta praca trwała?

Henryk Walczak: Praca trwała... Bo jak wybuchło Powstanie Warszawskie, to myśmy jeszcze tam byli. I wieczorem wtedy, to było... 1 sierpnia wybuchło Powstanie. Idziemy na kolację, a tam nie ma Niemca żadnego. To ci, co nas zawołali nas. Wszystko uciekło. I wtedy zaczęli też uciekać, ale ja tam mówię do swoich kolegów: „Jutro będą już tutaj wojska rosyjskie, polskie i pojedziemy z nimi. Gdzie będziemy na piechotę z Pułtusa szli”. A my rano, bo mieszkaliśmy w takich budach zrobionych ze snopków ze zboża, to wyglądało jak miasteczko. No, 5 tysięcy ludzi. A tu karabinami maszynowymi jesteśmy obstawieni. Ani krok. I stamtąd nas przepędzili z Pułtusa tą trasą na Serock, z Serocka do Dębego. To była też tragedia. Mężczyźni, kobiety załatwiali się, siku i tak dalej na stojąco w marszu, bo jak kto wyskoczył, to go zabili. I tutaj w tym Dębem przyszlism, zaczęli tam kawę, kocioł kawy, a co to było pod kocioł kawy, napij się, wylali tę kawę. Ja zacząłem gotować ziemniaki. Zdobyłem taką dzieżkę taki w rodzaju sagana, ale to była gliniana. Ja gotuję, już się zagotowały, to były młode ziemniaki już, pękło to, wylało się wszystko, nic. Można było jeść surowe. I wtedy tam długo nie byłem. Wtedy długo nie byłem, bo patrzę, wojska węgierskie, nie Niemcy, już tam dawno działa ustawili, bo już to Powstanie to było i nie wiem, co tam planowali. Ja tylko noc w tych stygach przenocowałem i rano już tu uciekam prosto tu na Modlin. Na Modlin. I tu byliśmy, koło lotniska samego szedłem. Widziałem jak te bomby ładowali na samoloty, przyczepiali, które bez przerwy latały do Warszawy bombardować. To widziałem to wszystko, bo wtedy ta trasa szła... Teraz trochę idzie dalej w Modlinie od lotniska, ale wtedy to przy samym lotnisku szła. I przeszedłem Modlin i wszystko. I do Zakroczymia. W Zakroczymiu, tu Warszawską, wchodzę z Zakroczym. Tu z górki, ulicę Warszawską z górki. I tam takie zagłębienie na tej ulicy.

Dorota Grzechocińska: Koło klasztoru.

Henryk Walczak: Tak, tak. I tam mnie aresztowali. Obejrzałem się, patrzę, jadą żandarmy. Przejechali przeze mnie „Halt” i zaraz mnie zaczęli uderzać, zaraz mi trzy zęby wybili, krew. I do klasztoru tego w Zakroczymiu. A tam było to gestapo. Taka filia była ich. I szpieg bolszewicki, czy ja jestem szpiegiem. Ja mówię: „Nie, szpieg nie”. I tam w tym urzędzie z tymi Niemcami pracowały dwie dziewczyny i tylko dzięki tym dziewczynom, Niemki oczywiście, tym dziewczynom to ja tutaj żyję i rozmawiam z państwem. Żeby nie one, to... Już była decyzja rozstrzelać mnie, a wtedy to bez niczego każdy Niemiec mógł zabić Polaka. Już była decyzja, to te Niemki, te dziewczyny się kłóciły na ostro z nimi. Widziałem, tę decyzję jedna z nich porwała na ich oczach. Że ja nie szpieg bolszewicki. I domyślałem, po wojnie jeszcze trochę tam szukałem ich, bo mówię, może one potrzebują pomocy, to ja bym im pomógł.

Dorota Grzechocińska: Pan je znał?

Henryk Walczak: Ja ich nie znałem.

Dorota Grzechocińska: Nie wiedział pan, jak one się nazywają?

Henryk Walczak: Nie, nie, nie, ja tylko domyślałem, że one, bo tutaj była ta kolonia, za Wisłą, niemiecka. Bo chodziły do szkoły chyba, bo po polsku dobrze umiały czytać, pisać. I jak ja im pokazałem metrykę i ta metryka, i te dziewczyny

dopilnowały dobrze, że miałem metrykę urodzenia. A było tam ausweis. Bo miałem i ausweis. Bo każdy musiał mieć ausweis. I tylko oni w to nie wierzyli. I wtedy nie puścili mnie do domu. Nie. Tylko przeznaczili mnie, tu już ten front się bardziej ruski zbliżał, przeznaczili mnie do saperów nad Wisłę w Zakrocymiu. A saperzy to byli przeważnie tacy żołnierze, starsi ludzie, dobrzy ludzie. A jakaś pani, ktoś im dał znać, przynosiła mi jedzenie, obiad. Przynosiła mi jedzenie. Pytałem się, kto jest, nie chciała mi powiedzieć, bo to była konspiracja. To tak było. A wtedy jak mnie prowadzili, to tylko widziałem, nikogo na ulicy nie było, tylko okna były tak pod zasłonę, otwierali jak ludzie patrzyli. Tak to są...

Dorota Grzechocińska: Panie Henryku, a jeszcze bym wróciła do pańskich braci. Obaj byli aresztowani w czasie wojny?

Henryk Walczak: Jeden... tak, tak, też. Jeden był aresztowany, wywieziony do Gogoli koło Ciechanowa. Koło Mławy czy Ciechanowa, te Gogole, miejscowość.

Dorota Grzechocińska: A który to brat? Mieczysław czy...

Henryk Walczak: Mieczysław. I wrócił, uciekł dopiero parę dni, chyba trzy czy cztery dni przed wejściem Rosjan tu do nas.

Dorota Grzechocińska: Mieczysław. A który był w obozie koncentracyjnym?

Henryk Walczak: To był cioteczny brat. On mieszkał w Warszawie. Kolarz przedwojenny. Jeździł z takim sławnym kolarzem Kapiakiem przed wojną. Pracował w drukarni, prawdopodobnież ktoś go oskarżył, że kolportował ulotki.

Dorota Grzechocińska: A jak on się nazywał ten pana brat?

Henryk Walczak: Proszę?

Dorota Grzechocińska: Jak się nazywał pana brat, ten...

Henryk Walczak: Wiktor.

Dorota Grzechocińska: Wiktor...

Henryk Walczak: Jakubowski. A drugi to był ten brat młodszy od tego, w Powstaniu zginął.

Dorota Grzechocińska: A jak się nazywał ten młodszy?

Henryk Walczak: Leon.

Dorota Grzechocińska: Leon Jakubowski?

Henryk Walczak: Tak.

Dorota Grzechocińska: Mniej więcej pamięta pan datę urodzenia czy rok Wiktora?

Henryk Walczak: Wiktora?

Dorota Grzechocińska: Tak.

Henryk Walczak: Był sporo starszy ode mnie. Mniej więcej...

Dorota Grzechocińska: Pięć lat starszy?

Henryk Walczak: Proszę?

Dorota Grzechocińska: Pięć lat starszy?

Henryk Walczak: Tak, tak. Pięć albo więcej. Nawet siedem. Urodził się w Warszawie.

Dorota Grzechocińska: A bracia Czesław i Bronisław jakoś byli represjonowani w czasie wojny?

Henryk Walczak: Bronisław nie był represjonowany, ale po wojnie, co jest ciekawe, wyzwolicieli. Ja tutaj ukrywałem rower jego, tutaj u mnie. On jeździł, tu na tym dobrym rowerze wyścigowym i go ukryli przez cały, bo rowery trzeba było zdać tak samo. I go przechowali i przyjechał po wojnie, ten rower złożył i pojechał do Torunia. Przecież w Warszawie nie było już roboty. Warszawa to była jedna ruina. Jak kto tego nie widział, to trudno sobie to wyobrazić. Ja to wiem, bo w 1946 roku... w 1946-47 roku przyjechałem do Warszawy, to był jeden gruz, jedna ruina. Szło się, nie trzeba było szukać ulicy, skrzyżowań, tylko przez gruz. Trudno o tym mówić, bo to trudne do wyobrażenia. A, bo ja tam miałem rodzinę i przyjeżdżałem.

Dorota Grzechocińska: Jak się dla pana zakończyła wojna?

Henryk Walczak: Jak się zakończyła, tak?

Henryk Walczak : Zakończyła się dla mnie nie bardzo, bo zaraz mnie też do wojska wzięli. Zaraz była pierwsza mobilizacja i w pierwszej mobilizacji zostałem wcielony do Poznania. Jednostka Wojskowa Poznań 2, Jednostka Wojskowa 2352. Jeszcze pamiętam numer. Trochę jeszcze głowy mam do tych historii. I jak się zakończyła? Zakończyła się ucieką. Pierwsza Wielkanoc jeszcze nie byłem w wojsku, jak tu była. Jaka była radość. Jedni płakali, drudzy śpiewali. Coś okropnego było. Śpiewy piękne, ale z płaczem i to dużym płaczem, bo jedni wrócili, drudzy nie wrócili i do dzisiaj nie wrócili. Tu zaraz miałem takiego niedaleko sąsiada. Cała rodzina gdzieś była wymordowana. On wrócił

z Niemiec, nie ma nikogo. To była wielka radość, ale i smutek, który do dzisiaj istnieje. A jeśli chodzi o wyzwolicieli, ja do żołnierzy nie mam pretensji. Oni też się bali okropnie NKWD, o którym my tam coś... Było tych gwałtów, tego wszystkiego. Proszę pani, ja później, jak poszedłem do wojska, jeździłem służbowo po Polsce, to słyszałem te gwałty, to wszystko. To nie chce się mówić. Ale bali się tego, bali. Ale pani wie, to ciemnota była. Ludzie bez szkoły żadnej, bez niczego. Ale żeby nas Rosjanie nie wyzwolili, to Amerykanie na pewno nie, bo jeszcze byli bardzo daleko. Inwazja amerykańsko-angielska, bombardowali te miasta niemieckie. Ja pojechałem w 1947 roku do Wrocławia, to Wrocław był nieomal zniszczony jak Warszawa, tylko być może nie tyle zgruzowany, jak spalony. Oni tam bombardowali 3 tysiące samolotów na jedno miasto przez jedną noc.

Dorota Grzechocińska: A jeszcze, panie Henryku, niech pan opowie trochę o tej swojej służbie już w Ludowym Wojsku Polskim.

Henryk Walczak: Proszę pani, ja w Ludowym Wojsku Polskim służyłem za generała marszałka Żymierskiego. Było jeszcze normalnie, cała musztra wojskowa, wszystkie dokładnie zalecenia były podobne jak było przed wojną. Wojsko chodziło do kościoła co niedziela z orkiestrą. Pierwsza szła orkiestra, potem kompania za kompanią. Kto chciał to szedł do spowiedzi, kto nie, to nie. Tak że było normalnie. I w tych latach, co ja służyłem, zostałem tyle, że wywieziony na bandy, ale tam to konieczność była, bo oni mordowali, ci Ukraińcy, Polaków, całe masy Polaków. Na Wołyniu tam to przecież nie to, że zabijali z broni, siekierami, kołkami napadali całe rodziny i zabijali.

Dorota Grzechocińska : To proszę opowiedzieć o tej służbie właśnie tam. O tych walkach. O pana udziale.

Henryk Walczak : To było coś okropnego. To było gorsze jak wojna 1939 roku, dla mnie. Bo to walka bratobójcza z nienacką, z zasadzki. Jej się wysiedlało przeważnie tu w koszalińskim, w olsztyńskim, takie wysiedlenie występowało w poszczególnych wsiach do takiej stacji Bełżec. Się nazywała, to na południu tam były wojny, jakiś obóz niemiecki w tym Bełżcu. Tam się ich gromadziło i stamtąd te rodziny się segregowało. Gdzie, która rodzina ma jechać. W szczecińskim, koszalińskim, olsztyńskim i tym podobnie. Ja im opowiadam, że będziecie mieli dobrze, tego, ale obchodzili się z tymi Ukraińcami, których wysiedlali, jak normalnie z Polakami, najlepszymi ludźmi. Mimo że oni napadali też, ale my z nimi... Nie wolno było inaczej robić, tylko... i to prawidłowo. I nawet jedna, nie chcę tu, to taka anegdotka, dziewczynka Ukrainka zakochała się we mnie, chciała, żebym ją wziął. Mówię: „Dziewczyno, co ja z tobą zrobię? Widzisz, że ja jestem żołnierzem”. I to się szybko tam też nie skończyło. Jeszcze długo to trwało. Oni, jak ich się powysiedlało, jeszcze oni w lasach tam byli, ale to musiało być, bo dokąd się tego nie przesiedliło, to niemożliwe było do zwalczania tego. Bić ludzi wszystkich to było nierealne, zabijać. Oni zabijali nas, my zabijaliśmy ich. Dopiero te przesiedlenie uspokoiło. I do dzisiaj tam są. I dobrze mają. Podostawali luksusowe gospodarki poniemieckie. Tam były przecież ładne gospodarki. Szczecińskie, olsztyńskie i tym podobne. Teraz, bo ja byłem zaraz tam po wojnie, jeździłem po tych terenach i tam też nieraz byłem. Teraz już nie jeżdżę, bo już nie mogę. To też są poniszczone już te gospodarstwa, bo ci Ukraińcy nie odnawiali tych gospodarstw, tych budynków, tego. Tylko tak to wszystko pada. Od razu można było poznać, że to poniemieckie.

Dorota Grzechocińska: A mówił pan jeszcze też o udziale w walkach tam...

Henryk Walczak: A, w samych walkach. Same walki odbywały się w ten sposób, że my mieliśmy swój wywiad, proszę

pani i zasadzki się robiło przeważnie na noc na drogach, na różnych skrzyżowaniach. Tam się robiło zasadzki. I oni przechodzili wtedy. Miałem takie jedno, że ja byłem z kolegą z karabinem maszynowym na takim skrzyżowaniu i człowiek był zmęczony i usnął. I jakoś nadeszli blisko, tak jak do pana i usłyszeli my. Kolega, co był przy tym karabinie maszynowym, krzyknął: „Stój!”, a nie wolno nam było krzyżeć „Stój!”, tylko od razu można i zabić. To była taka walka jak na froncie. I to było trudne do zlikwidowania w dzień. W nocy wiele, znaczy to w nocy, a w dzień były chesanki lasów, to się nazywały. Las, przykładowo, bo tam są duże lasy, to żołnierz przy żołnierzu, tyraliera taka szła przez cały las i miałem takie druczane sztyki do badania w ziemi, czy tam bunkrów nie ma, bo się spotykało dużo bunkrów, bo nie widać było, czy tam co jest, a dopiero tym sztykiem się, tym drutem się namacało. I wtedy w jednym z takich bunkrów, bo niedużo brakowało, żeby był zabity, ja rzucam granat, wiązkę granatu, tak jak byłby tu, a kolega tak jak pan, z drugiej strony. I dał serię, i kolega dostał tu tak. Wyrwała mu kawał tego policzka i mówi: „Heniek, rzucamy granat”, ale już nie do bunkru, tylko w pole, bo już tracił przytomność. I to było dużo takich... A potem z tym kolegą ciekawe, za dwa lata się spotkałem w Bydgoszczy, w tramwaju. Po dwóch latach jadę tramwajem w Bydgoszczy, ktoś mnie uderza w plecy. Patrzę, a to kolega, co przy mnie był ranny. A wtedy, ja bym zginął też od swoich granatów, bo ja miałem w ręku. I oni strzelali do mnie w rękę, bo widzieli przecież dziurę, że mam granaty. I bym zginął od tych swoich granatów.

Dorota Grzechocińska: W jakim to rejonie było?

Henryk Walczak: W jak...

Dorota Grzechocińska: Gdzie były te walki? Gdzie były?

Henryk Walczak: W jakim rejonie, tak? To były miejscowości Lesko, Narol, Dubielsko. Te południowo-wschodnie rejonu całe, przygraniczne wszystko.

Dorota Grzechocińska: Wrócił pan z wojska i normalne życie tutaj w kraju?

Henryk Walczak: Tak, tu jak wróciłem z wojska... Znaczą, po wojnie nie było nic. Ja byłem trochę taki operatywny. Trzeba było organizować życie prywatne, sklepy, drogi, mosty, urzędy, sołtysów. Bo nie było, jak po wojnie, prawda, też było ciężkie życie. A rolnicy, było okropne to. Ja byłem, potem mnie wybrali za przewodniczącego, tak jak teraz wójta. Ja chroniłem tych ludzi. Prokurator do mnie przyjeżdża, były obowiązkowe dostawy. „Ile chłopy odstawili zboża?” „Nic nie odstawili, bo nie mają czym młócić”. A on mówi: „Dupą niech młóć i do rana... 170 musi być wniosków do ukarania na jutro”. Ja na drugi dzień jadę na naradę do Płońska, mówię, jest taki prokurator, się nazywał Ziółkowski, który mówi, że ja chłopów karać nie chcę. To była wielka narada, ja mówię: „Chłopów nie to, że ja nie chcę karać, ale karać tam, gdzie trzeba karać, ale za obowiązkowe dostawy chłopów karać nie będę, bo im trzeba dać”. Nędza była na wsi. A nie brać. Jak jego wtedy, tego prokuratora... Po tym został wywalony na moje polecenie. Jak Gomułka wrócił z więzienia, to Gomułka potępił obowiązkowe dostawy, jak wrócił z więzienia, na wystąpieniu wtedy, co razem z kardynałem Wyszyńskim. To było w 1956 roku chyba, tak, w Warszawie. To olbrzymie, to był wtedy wielki przełom już. Wielki przełom właśnie zrobił Gomułka. Bohaterów to my mamy w Polsce dużo przemian

społeczno-politycznych. Ale często bywa tak, że ci bohaterowie są uśpieni, nie ma ich. A dużo jest pseudo bohaterów. Ja nikogo nie osądzam, nikogo nie chwalebę, ale dużo to pamiętam. Ja brałem udział w tych walkach ukraińskich. Sejm podjął uchwałę, że wszyscy żołnierze, którzy walczyli z bronią w rękę, powinni już być mianowani na podporucznika i porucznika, stopnie oficerskie. Złożyłem wnioski i mi odmówili. Dlaczego? Coś im przeszkodziło. Nie wiem co. I do dzisiaj nie mam. A dostali niektórzy tacy, którzy nawet byli w UB. Też dostali nieprawidłowo, bo nie powinni, to ja wiem dobrze. I tacy, co nigdy nie byli, co nic nie robili. Też podostawiali stopnie oficerskie. Ja się o to już nie dopominam, bo nie ma potrzeby. Ale mówię, to są takie polityczne sprawy.

Głos: Bo wspomniał pan, że był pan w Pomiechówku w 1944 roku, kiedy wybuchło Powstanie.

Henryk Walczak: Tak, tak.

Głos: A jeszcze wcześniej mówił pan, że okopy kopał pan w obozie w Pułtusk również tuż przed wybuchem Powstania Warszawskiego. Niech pan sobie spróbuje przypomnieć, kiedy był Pomiechówek, a kiedy był ten Pułtusk.

Dorota Grzechocińska: Co było pierwsze?

Henryk Walczak: Pułtusk był... Pierwszy był Pułtusk.

Głos: Aha, czyli pierwszy był Pułtusk.

Henryk Walczak: Pułtusk i z Pułtuska przegonili nas do Dębego. Do Dębego, to jest za Wołyniem.

Głos: A Pomiechówek kiedy był? Był po Pułtusk?

Henryk Walczak: A Pomiechówek był po Pułtusk.

Głos: Czyli pana losy były takie, że trafił pan do kopania okopów, trafił pan później do klasztoru w Zakrocymiu.

Henryk Walczak: Tak, tak.

Głos: Tam był pan skazany na rozstrzelanie.

Henryk Walczak: Tak, tak.

Głos: Uratowano pana. Wrócił pan do domu i tam w domu pana aresztowano i do Pomiechówka wtedy zawieziono, tak?

Henryk Walczak: Nie. Proszę pana, z Pułtuska, po okopach wracałem, przegoniony zostałem do Dębego. Z Dębego uciekałem, bo tam nie było już życia. Nie dawali jeść, jeszcze Niemiec przyjechał i do mnie Warum ist arbeit?. A ja mówię: „Nicht essen nicht arbeit. Ja, ja. Hitler kaput”. Proszę pana, i wtedy w tym Zakrocymiu chcieli mnie tam ci oprawcy, gestapowcy rozstrzelać, bo jestem szpiegiem bolszewickim. Nie ruskim, tylko bolszewickim. Pamiętam te słowa. I te dziewczyny Niemki, one sprzeciwiły się temu, bo wiedziały, były mądre dziewczyny, a musiały być też na wysokich jakichś stanowiskach, kiedy porwały tę decyzję im.

Dorota Grzechocińska: Bo tak się zastanawiamy, czy to aresztowanie, po którym został pan wywieziony do Pomiechówka, czy ono było spowodowane tym, że pan nie chciał, że pan ukrywał się przed wywiezieniem na roboty

do tego Królewca?

Henryk Walczak: Tak. Proszę pani, między innymi. Proszę pani, domysłów to ja mam dużo. Bo nie tylko ja byłem szykanowany, bo i brat Mietek. Być może było powiązanie między innymi z tym bratem ciotecznym, co w Oświęcimiu zginął. Może tu dostawali jakieś, bo to na pewno go tak nie wzięli i go... Na pewno dochodzenia były. I mówię, domyślam się, że przez to nas szykanowali, proszę pani. To tylko się domyślam.

Dorota Grzechocińska: Tak, po tym jak pan dostał się do Zakroczymia...

Henryk Walczak: Tak.

Dorota Grzechocińska: I został pan uratowany przez te Niemki.

Henryk Walczak: Tak.

Dorota Grzechocińska: Co się dalej działo? Jak pan wrócił do...

Henryk Walczak: To zaraz pani odpowiem szybko. Dowiedziałem się w tym Zakroczymiu, jak mnie przekazali już po tych decyzjach rozstrzelania mnie do saperów nad Wisłą, dowiedziałem się, bo tu już ten front ruski się zbliżał coraz bardziej i że tu u nas kopią okopy Niemcy. Polacy. Tak ja uciekłem z tego Zakroczymia, nie bramą, tylko przez ten mur, prawda, i żeby tu się nie tego, mówię, przyjdę, drugi raz aresztują. I poszedłem tu na te okopy nad Wisłę u nas. Dali mi szpadle, ja ten szpadel od razu kopnąłem do Wisły. Mówię: „Ja tu nie będę okopów kopał, bo ja tu niedaleko mieszkam”. Ten szpadel leży do dzisiejszego dnia tam w Wiśle, proszę pani. I wtedy człowiek tylko czekał dalej, bo w ostatnich dniach można było zginąć. Przed samym wyzwoleniem, wyzwoleniem, tak mówię, bo to faktycznie tak było, niedaleko stąd, trzy kilometry, taka owczarnia podworska była, do tej owczarni ludzi spędzili, chłopów. Mieli to wysadzić w powietrze. Nie zdążyli. Nie zdążyli, bo Ruskie już... Ja tej nocy, co tu do nas weszli Ruski, słyszałem ogromne wybuchy, a te wybuchy to most ten w Jaworowie, co pani mówi, to pani rodzina była, ten mostek taki, co jest na szosie, wysadzili go i drugi tu u nas ten mostek na takiej strudze. To te wybuchy, mówię: „Już ich szlag trafia”. Rano wstaję... A, a jeszcze ci saperzy budowali most tu w Smoszewie, przez Wisłę, dwa przęsła były zrobione. I u nas też kwaterowali. I wtedy rano wstajemy, ci saperzy, to wszystko uciekło, cisza, nie ma żywej duszy, tylko ruskie samoloty. Rano mówię: „Już ich szlag trafi”. I dwóch tu jeszcze się zabłądziło tych Niemców i tu na tej szosie, jak żeście jechali do mnie, tu przed Goławinem, tam ich Ruscy dorwali. Tu, jeszcze mieli jajka, to ludziom pozabierali, w kieszeniach, tymi jajkami ruski ich tego. „Pan stoi, jeb twoje mać”, jednego serię, drugie, zabili ich na miejscu. Tych zabili, to była zima. Tak, to była zima, był 19 stycznia, moje imieniny, Henryka. Tu do mnie jak weszli, dałem im litr wódki. Ktoś powiedział im, że to moje imieniny, a później myśleli, że ja mam gorzelnię i tu po kolei wszyscy. A tych ludzi, tych Niemców, co zabili, zaraz ludzie rozebrali do naga, leżeli pewnie z tydzień czy więcej tak nago. I potem ich zabrali, i tutaj jakieś pięć kilometrów stąd jest tam taki przedwojenny cmentarz niemiecki i tam ich powołali.

Dorota Grzechocińska: Panie Henryku, jeszcze chciałam zapytać o jedną taką historię tutaj z tym związaną. Mia-

nowicie pan mówił, że tutaj dosyć dużo ludzie bydła hodowali w czasie wojny, tak?

Henryk Walczak: Tak.

Dorota Grzechocińska: Czy tutaj też ten nielegalny handel ktoś tutaj prowadził?

Henryk Walczak: Tak, tak. Szmugiel tak zwany. Szmugiel. Proszę pani, był. To się nazywali szmuglerzy, którzy ratowali ludzi w Warszawie. Nosili im na plecach...

Dorota Grzechocińska: Rąbankę.

Henryk Walczak: Rąbankę.

Dorota Grzechocińska: Przez zamrożoną Wisłę?

Henryk Walczak: Tak. Proszę pani, i tutaj, stąd niedaleko Grodziec, miejscowość. „W Grodźcu, sławnej okolicy. Tu pracują sami rzemieślnicy. Rzemieślnicy i szmuklerzy...”, i tak dalej. Taka piosenka może leci. „Si, si, si...” tego... I też to jeden kolega, znajomy, nie znajomy, sąsiad, młody chłopak, 21 lat. Na moim polu jakiś kilometr stąd, może nie ma, najpierw go postrzelił żandarm, bo uciekał tam ze Smoszewa taka dróżka leci tutaj. Mniej więcej po tej linii, co i to ta tu. Uciekł, wiedział, że tamta struga, że tam takie zarośla, parowa, i tam namówił kilku do tej ucieczki. I ruszyli. I jemu się nie... Tamci puciekali, a jemu się nie udało, bo za dobrze znał ten teren tu, bo tu się urodził. I wyleciał na gołe pole i chciał nad Wisłę iść. Tam takie parowy nad Wisłą, tam się zachować. A żandarm ustawił karabin, znałem tego żandarma, postrzelił go. Postrzelił, doszedł do niego, z krótkiej broni go dobił.

Dorota Grzechocińska: A jak się nazywał ten kolega?

Henryk Walczak: Stempkowski. Marian Stempkowski. Jest pochowany w Chociszewie na cmentarzu.

Dorota Grzechocińska: A rodzinę Domankiewiczów?

Henryk Walczak: Proszę?

Dorota Grzechocińska: Zna pan rodzinę Domankiewiczów?

Henryk Walczak: Domankiewiczów, Domankiewiczów... Coś wiem o Domankiewiczach.

Dorota Grzechocińska: To cała rodzina była aresztowana. Ojciec zginął w Pomiechówku, matka...

Henryk Walczak: Gdzie oni mieszkali?

Dorota Grzechocińska: Mochty-Smok. Nad samą Wisłą.

Henryk Walczak: A, na Smoku tam. No tak, znałem, tak. Ja tam pracowałem przecież u tego komisarza na Smoku. To był komisarz niemiecki, który tu zawiadywał tu naszą gminą, ten komisarz. Za darmo pracowałem jako niewolnik przecież u niego, u tego. Tak, tak, Domankiewiczów, tak. Dobrze wiem. Jedna ta Domankiewiczka nad taką Strugą mieszkała, tak?

Dorota Grzechocińska: Tak.

Henryk Walczak: Taka parowa taka tam.

Dorota Grzechocińska: Oni do dzisiaj tam mieszkają.

Henryk Walczak: Rodzice, tak.

Dorota Grzechocińska: Znaczą dzieci.

Henryk Walczak: Dzieci. Tak, to znałem. Tam często się chodziło. Tak. Ona też tam odgrywała rolę. Tam przemycala dużo krów i innych takich. Tak było? Tak.

Dorota Grzechocińska: To dziękujemy bardzo.

Henryk Walczak: Nie ma za co. Ciekawie było dla mnie. Nieraz dzieciakom poopowiadam, ale proszę pani, inaczej rozumie ten, który słucha, a tego nie przeżył, a inaczej ten, co wie dobrze o tym. A wyzwolenie to była, jak mówię, to było takie pół wyzwolenie, bo już ludzie tak nie ginęli i tym podobnie. Ale dla mnie nie było wyzwolenia, tylko jeszcze wojna z tymi Ukraińcami. Mam odznaczenie, jestem odznaczony Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski.